

Teksty Drugie 2004, 5, s. 91-95



# Pamiętnik wariatki

Joanna Bator

## Pamiętnik wariatki

Dziennik osoby sławnej albo zupełnie anonimowej, każdy, który czytamy, daje nam tę cudowną iluzję, że oto życie w jego „prawdzie”, życie „autentyczne” zostało „uchwycone”, unieruchomione jak owad w bursztynie. Oto dostajemy do ręki czyjąś teraźniejszość opisaną „krwią i łzami”. Fascynacja dziennikami jest tak silna, że nawet wielu teoretyków twórczości autobiograficznej interesuje się nią tylko czy przede wszystkim dlatego, by jak najlepiej napisać swój własny dziennik. Czyż nie w ten sposób postąpił na przykład sam Philippe Lejeune, najwybitniejszy pewnie znawca tematu? Spłodziwszy tomy na temat autobiografizmu i pamiętnikarstwa postanowił parę lat temu opublikować w internecie swoje prywatne zapiski. Uległ magicznej pokusie autobiografizmu. Czy potrzebna jest zatem uwaga banalna w kontekście wszystkiego, co już napisano na ten temat, że dziennik jest jednak w takim czy innym stopniu fikcją – albo autofikcją – opowieścią autora o sobie? Lejeune dobrze o tym wiedział. Świadomość ta nie zmniejsza jednak fascynacji dziennikami. Tym bowiem, co wielu w nich pociąga jest nie „prawda”, lecz heroiczny wysiłek autora – i jego odwaga – by napisać swoją historię, uchwycić to, co się wymyka, wiecznie znikający punkcik każdego „teraz”, magmowate pulsowanie każdego „ja”; nie tyle dać wyraz swojemu życiu, co powołać się do istnienia. Gdyby nie dziennik, który dziś trafia w nasze ręce, w ogóle nie byłoby panny M., jej cicha smutna historia na zawsze przepadłaby w niepamięci.

Dziennik panny M. po raz pierwszy trafił do rąk czytelników w 1926 roku za sprawą wybitnego psychiatry warszawskiego Adama Wizła, jednego z tych polskich uczonych, którzy zaczęli stosować psychoanalizę Freuda. Autorka, znana nam jedynie jako „panna M.”, była od 1920 roku jego pacjentką. Wizel skłonił ją, by zgodziła się na opublikowanie zapisków, które dostarczyła mu wcześniej jako „materiał dowodowy” swojego szaleństwa. Czy panna M. myślała kiedykolwiek poważnie o upublicznieniu swoich wyznań? Wspomina w tekście o swoim nienarodzonym synu, nieistniejącym mężu, wszystkich kobietach świata i... o sobie samej

## Roztrząsania i rozbiory

„w innym wcieleniu” jako ewentualnych odbiorcach swoich intymnych zwierzeń. Czyż jednak myśl o Czytelniku (choćby był to czytelnik jedyny, nasze odmienione po latach ja) nie jest tą, która pojawia się w głowie każdego autora? W każdym razie dziennik panny M. opublikowany pod tytułem *Pamiętnik pacjentki* i opatrzone stosownym komentarzem doktora Wizła stał się sukcesem wzbudzając duże zainteresowanie środowisk medycznych i literackich. Po dwóch latach wznowiono jego wydanie, a potem został zapomniany i pełen bólu głos panny M. zniknął we wrzawie ważniejszych wydarzeń. Po prawie osiemdziesięciu latach za sprawą profesor Danuty Danek otrzymujemy trzecią jego edycję. I panna M. znów do nas mówi; ze ścisłką serce autoironią osoby świadomej pogłębiającej się choroby psychicznej mówi, że gdy śmierć stanie się jedynym rozwiązaniem, to zatytułuje swoje zapiski „pamiętnikiem wariatki” i pošle „któremuś z tych panów psychologów”. Niech mają „jeden jeszcze okaz więcej w galerii obserwowanych przez siebie szaleńców”.

Kim była autorka tych słów? Tak niewiele o niej wiemy! Panna M. żyła w pierwszej połowie XX wieku w majątku N. na kresach południowo-wschodnich. Miała rodziców i dwie siostry, nie wiadomo nawet czy młodsze, czy starsze. Pracowała jako nauczycielka; w międzyczasie czytała i rozmyślała. W wieku dwudziestu kilku lat jej umysł ogarnęła fantazja o narodzeniu świata nowego Zbawiciela i ta myśl zawiadnęła panną M. bez reszty. Czując, że dzieje się z nią coś, nad czym straciła kontrolę, udała się do psychiatry, wspomnianego wyżej doktora Wizła. Po kilku latach zmagania wyzdrowiała; wyjechała z Warszawy na prowincję, by objąć posadę w szkole, której przełożony został jej miłością. A tam, jak pisze doktor Wizel, „nie tylko wyzbyła się marzeń o swoim wielkim przeznaczeniu i nie tylko przestała marzyć o urodzeniu genialnego dziecka, ale zrezygnowała w ogóle z macierzyństwa. Skrzydła połamała i stąpa po ziemi krokiem zwykłych śmiertelników”. Oprócz *Pamiętnika pacjentki*, nic więcej nie zostało po pannie M.; jej wielka energia wyczerpała się w szaleństwie.

Dziennik panny M., jedyne źródło wiedzy o niej, niestety nie trafia w nasze ręce w dziewiczej postaci. Cenzurze poddał go doktor Wizel dokonując, jak sam pisze w *Przedmowie* do pierwszego wydania *Pamiętnika pacjentki*, „dość znacznych skrótów podyktowanych bądź obowiązkiem dyskrecji względem innych osób, bądź troską o uwydatnienie jedynie najdonioślejszych zwierzeń i wydarzeń”. Tym, co dostajemy, jest już zatem doktora Wizła wersja historii panny M., a nadzieję na istnienie tekstu-matki możemy pogrzebać; sam doktor od dawna nie żyje, a wszystko, co posiadała jego rodzina spłonęło ponoć w powstaniu. Musimy zatem czytać tekst okrojony i pełen luk. Czy były w nim rzeczy naruszające „społeczne tabu” związane z rodzicami panny M., jak sugeruje Danuta Danek? Czy może „nudne” z punktu widzenia Wizła opisy kobiecych rytuałów kosmetycznych? Coś jeszcze innego? Tego już się nie dowiemy. Tak czy inaczej tekst został naruszony i z taką jego wersją musimy obcować. Spróbujmy zatem naszkicować portret jego autorki i bohaterki.

Pierwszy zapisek pochodzi z 6 kwietnia 1916 roku. „Dziś dla mnie święto. Żegnaj sobie dawną, witam nową!”, pisze panna M. „Dziś, w specjalnie na ten

cel przygotowanych ubraniu – nowa zewnątrznie – przystępuję do odnawiania wewnętrznej mej istoty”. Ten wzruszający naiwnością i tak bardzo kobiecy rytuał „zaczynania wszystkiego od nowa” otwiera opowieść o pogrążaniu się w szaleństwie, jest pierwszym krokiem ku otchłani. Potem będą miały miejsce jeszcze dwa, już nieco mniej uroczyste, momenty inicjacyjne, po których życie bohaterki będzie, niestety, nadal takie samo; bolesne, pełne wątpliwości, samotne. Jeszcze nic nie wiemy o pannie M., ale spróbujmy wyobrazić sobie przez chwilę młodą kobietę, która porządkuje szafki i szuflady, „poprawia sukienki”, przebiera się, inaczej niż zwykle układa włosy i pisze potem „żegnaj przeszłości! [...] Rodzi się nowa istota”. Ma wtedy 21 lat. Szaleństwo jest jeszcze daleko, wewnętrzne upiory panny M. dopiero przeciągają się do skoku. O czym marzy w „nowym życiu”, które zaczęła 6 kwietnia? Ma dość „tej strasznej szarzyzny”, „gna ją w świat”, chce „poznać ludzi potężnych duchem”, a nawet musi „coś wielkiego zrobić dla ludzkości”. „Troszkę większy świat”, taki jak Charków, to miejsce, do którego panna M. chciałaby uciec ze swojego odludzia. Ot, banalne pragnienia dorastającej na wsi wrażliwej panny... Podzielane przez dawne i współczesne wrażliwe panny. Ale autorkę dziennika dręczą też inne kwestie, poważniejsze, mroczne. A właściwie jedna główna kwestia, jaką jest dla panny M. ona sama. Jej życie w tym miejscu nie znanym nam z nazwy, miejscu, którego wyraźnie nie lubiła, to proces wnikliwej autoanalizy. „Wadą moją”, pisze panna M. „są właśnie te zbyt częste marzenia, moja wyobraźnia” i obiecuje sobie „poprawić się”, kierować się tylko trzeźwym rozumem. Ale nie udaje jej się ta praca nad sobą; odnajduje w sobie mnóstwo wad, popada w „czarną melancholię”, chodzi po lesie i płacze, jej surowe nad-ja nigdy nie uznaje jej za godną pochwały. Pogardza więc sobą obsesyjnie rozpamiętując swoją małość, bezużyteczność, bylejąkość. Nie ustaje w syzyfowych wysiłkach samodoskonalenia; panna M. czyta, czyta mnóstwo i żyje książkami, z których każda robi na niej „szalone wrażenie”. Brak jej intelektualnego ukierunkowania i emocjonalnej stabilności, by umieć poruszać się wśród książek i odróżniać swój głos od głosu ich autorów. Panna M. daje się książkom uwodzić. Odczuwa boleśnie swój brak wykształcenia z wnikliwością osoby, która zdobyłaby je bez trudu, gdyby miała taką szansę. Ale panna M. jest przykuta do tego domu tak, jak wiele innych kobiet jej stanu. Jej rodzina nie była zamożna (autorka wspomina o braku posagu), z pewnością jej rodzice nie należeli do intelektualnej elity; trwała wojna. I było coś jeszcze. Jakaś wewnętrzna siła, tajemnica; to „coś”, co utrzymywało pannę M. w ruchomej nieruchomości znanej badaczom snów; przyjechawszy do Charkowa chciała wracać do N., będąc w Warszawie myślała o Krakowie, gdzie znalazłszy się też była nieszczęśliwa, nie na miejscu. Coś się w niej „burzyło” i „gotowało”, jakaś siła ją „wprost rozsadzała”, ale nie potrafiła zdobyć się na żadną konsekwentną aktywność. Miała wrażenie, że jest genialnym malarzem, „któremu obcięto obie ręce”. Albo nawet „marnym ciastkiem za 5 kop. ze zwykłej sobie cukierni”. Pogrążyła się w sprzeczności między przekonaniem o braku jakiegokolwiek talentu a odczuwanymi „zarodkami czegoś potężnego”, między własną bujną zmysłowością i jej religijnym potępieniem. W swoim otoczeniu nie znajduje nikogo, z kim mogłaby rozmawiać o swojej udreće, nikogo, kto „ma duszę”. Ludzie

## Roztrząsania i rozbiory

wokół (rodzice? siostry?) rozprawiali o „drożyźnie i upałach”, a panna M. pograżała się w bólu, którego przyczyny nie rozumiała. Pustka emocjonalna wokół tej młodej kobiety jest niemal dotykalna, z otaczającego ją świata wieje przejmującym chłodem obojętności: to miejsce, gdzie nie ma ani matki, ani przyjaciółki gotowej ją wesprzeć. A mężczyźni? Panna M. nie była kokietką, ale – jak pisze – dlatego, że „nie umiała”. Czy zdarzyło się już w jej życiu coś, co przekonało ją o braku talentu w tej dziedzinie? Na pewno tak, wskazują na to wyraźne ślady w tekście; choćby jakiś pan S...ki, który kiedyś jej się podobał, w ogóle jej nie poznał przy przypadkowym spotkaniu. Panna M. uważa się więc za bardzo nietładną i prawdopodobnie nikt jej nie próbował przekonać, że jest inaczej. Niskie poczucie własnej wartości, samotność i niezrozumienie, nad-ja, które „nigdy nie zasypia”; to jeszcze nie szaleństwo. Jej wewnętrzny wróg rośnie już jednak w siłę. „Boże! Daj mi wielkie serce, daj mi być człowiekiem szlachetnym i wielkim!”, błaga panna M. 1 czerwca; tego samego dnia przeczyta *Do kobiet* Tolstoja i przekroczy cieniutką granicę, za którą okaże się, że pierwszą połowę drogi ku otchłani ma już za sobą. Będzie odtąd błagać Boga już nie o to, by uczynił ją „człowiekiem” o wyjątkowych przymiotach, lecz „kobietą-matką”, której przeznaczeniem jest rodzenie dzieci. Tak udręczony umysł znajduje ucieczkę w obsesyjnym urojeniu, które napędza praca nieświadomości. Jeszcze przez chwilę jednak ta fantazja panny M. może sprawiać niewinne wrażenie marzenia o zamążpójściu i szczęśliwej rodzinie. Jeszcze towarzyszą jej inne; o podróżowaniu, „ucieczce jak najdalej”, o zostaniu „doktorem okrętowym”, o jakimś za młodym i nie zwracającym na nią uwagi Zbyszku. Ale to pozory. Już wkrótce, a dokładnie 16 stycznia 1917 roku, panna M. doznaje objawienia. Pisze stylem biblijnym, którym będzie odtąd przemawiało jej szaleństwo: „Myśl, jak błyskawica, rozjaśniła mi mózg, że dam ludzkości syna mego”. Od tej chwili panna M. jest tą „wtajemniczoną”, wybraną, „[...] naczyniem, co ma począć człowieka, który powiedzie ludzkość wzwyż”. Sens, nadany jej życiu przez tę fantazję, czyni ją szczęśliwą, pozwala jej (pewnie po raz pierwszy) afirmować własną kobiecość. „Ty, mój wielki!”, zwraca się panna M. do swojego przyszłego syna, a w przybliżeniu twórczej pasji pisze oktawą pieśń „Do kobiety”; straszne, wzruszające, niedobre dzieło, które wysłała do jakiejś redakcji literackiej na próżno oczekując odpowiedzi. „Chryste, spojrzij tylko na łono moje, a wyda syna, który powiedzie innych”, modli się, „Chryste, duch syna mego jest, a łono me drży z oczekiwania, aby począć ciało jego”. Panna M. nie zostaje jednak wysłuchana, nie pojawia się godny „siewca”, by zapłodnić ją niczym „ziemię rodzajną”. Pojawia się za to niejaki Piotr, uchodźca wojenny z poznańskiego, nieprzyjemna figura korzystająca ile się da z uległości trzech siostr, włączając pannę M., która za jego sprawą doznaje zmysłowych przyjemności o charakterze masochistycznym i wojerystycznym. Na czas tego upokarzającego niby-romansu jej mistyczna fantazja nieco blaknie, by po zniknięciu Piotra wybuchnąć ze zdwojoną siłą. Być matką, mieć dzieci, a zwłaszcza tego jednego, wyśnionego syna – Mesjasza, syna genialnego: panna M. wykrzykuje niebu swoje pragnienie, „cała jest krzykiem”, ale niebo pozostaje nieczułe. Jej szaleńcza pewność, że wybrana jest na „matkę geniuszów”, rośnie, czuje w sobie „moc Mickiewiczów, Kościuszków, Grott-

gerów, Szopenów [...]”. Wierzy, że „da światu człowieka wielkiego jak świat i pokaże kobiecie, co znaczy słowo «matka»”. Panna M. w tym czasie jakimś cudem wciąż pracuje jako nauczycielka, najpierw w Charkowie i Krakowie, potem w Warszawie. Praca ta męczy ją, nie daje jej satysfakcji podobnie jak jakieś próby działalności społecznej, nieudane spotkania z ludźmi. Właściwe życie panny M. rozgrywa się na scenie mesjańskiej fantazji, której pamiętnik jest jedynym powiernikiem. Bardzo jednak potrzebuje podzielić się swoją obsesją z innym człowiekiem, znaleźć potwierdzenie; wysłała list do jakiegoś literata i znów na próżno oczekuje odpowiedzi, próbuje zdobyć adres Przybyszewskiego (!), ale jej się nie udaje. Towarzysząca jej od zawsze emocjonalna próżnia pogłębia się. Panna M. jest ze swoimi rojeniami, z zabijającym ją bólem zupełnie sama. Pojawiają się myśli samobójcze, otchłań wydaje się coraz bliższa. Panna M. decyduje się iść do psychiatry.

Dlaczego panna M. oszalała? A dlaczego Van Gogh obciął sobie ucho? William McKinley Runyan w swoich rozważaniach o psychobiografii podaje trzynaście możliwych interpretacji mogących udzielić odpowiedzi na to drugie pytanie. W najnowszym wydaniu *Pamiętnika pacjentki* mamy dwie – na pierwsze pytanie; tę autorstwa Wizła i nową, udzieloną przez Danek. Na pewno panna M. mogła trafić dużo gorzej niż do warszawskiego psychiatry, bo – i tu należy oddać mu sprawiedliwość – wyzdrowiała i zaczęła tak zwane „normalne życie”. Doktor Wizel słuchał jej z uwagą i być może takiej właśnie terapii panna M. potrzebowała. Z drugiej strony samo wyjaśnienie szaleństwa panny M. oferowane przez Wizła czyni z całej historii polską wersję „przypadku Dory”; Wizel, tak jak Freud przyłożył edypalną matrycę do materiału, który niekoniecznie daje się w nią wtłoczyć. Danek z kolei szuka wyjaśnienia w preedypalnej historii pacjentki sugerując odrzucenie przez matkę i „zapomniane” seksualne nadużycie jako przyczyny choroby. W ten sposób panna M., jak sama przepowiedziała, stała się „okazem w galerii” psychologów. Pokusa kolejnej interpretacji tego pięknego tekstu jest jednak silna i zrozumiała. Mamy tak wyraźne tropy: znaczącą nieobecność matki panny M., jej masochistyczny, perwersyjny erotyzm, czarno świecące w tęskcie słońce melancholii... Żał byłoby odmówić sobie wyprawy ich śladem. To jednak nie jedyna przyjemność tego tekstu, bowiem *Pamiętnik pacjentki* ma także wartość czysto literacką. W słowach panny M. ukryta jest moc, która sprawia, że wiedząc o niej tak niewiele, można jednak ją sobie wyobrazić, dopełnić obraz; w miarę czytania jej obecność zaczyna wyrażać się, nabiera kolorów. Prowokuje do zadawania pytań, powracających, uporczywych: „Co by było gdyby?” Na jaw wychodzi plastyczność *Pamiętnika pacjentki* jako tekstu literackiego, opowieści: oto panna M. płacze w lesie, oto w roli przyzwoitki przygląda się jak Piotr pięści jej siostrę Niunię, oto panna M., podniecona, zafascynowana, na odczycie Przybyszewskiego... Ta kresowa panna miała w sobie godność, ba, nawet heroizm osoby, która znalazła dość odwagi, by zmierzyć się ze swoim demonem. To dobry początek, by pisać. Jednak – jak w tylu innych przypadkach – demon okazał się silniejszy od niej i dlatego zostawiła nam tylko swój „pamiętnik wariatki”.